

Shai Orr

Cud rodzicielstwa

Co się stanie, gdy naprawdę zaufasz swojemu dziecku



Wydawnictwo: *Natuli*

Wydawca: *Michał Dyrda*

Tłumaczenie: *Anna Klingofer-Szostakowska*

Redakcja językowa: *Adrian Kyć*

Korekta: *Aleksandra Brambor-Rutkowska*

Ilustracje: *Anna Szukała*

Projekt okładki: *Emilia Kucharczuk*

Zdjęcia autora na okładce: *Efrat Lobel*

Projekt typograficzny i skład: *Bogumiła Dziedzic*

© Natuli / natuli.pl

© Shai Orr / bidyuk.co.il

Wydanie pierwsze 2020

ISBN 978-83-66057-22-7

Druk: KAdruk S.C. Szczecin

Spis treści

Wstęp	9
Nowa szansa	22
1. O co tak naprawdę proszą nasze dzieci	27
Pierwotny kontrakt	31
Siedem podstawowych prośb naszych dzieci	35
• Pierwsza prośba – by czuć się zadowolonym we własnym życiu	36
• Druga prośba – by doświadczać przyjemności, witalności, zabawy, pasji	38
• Trzecia prośba – by czuć iskrę wyjątkowości	40
• Czwarta prośba – by czuć wspólnotę, w głębokiej bliskości	42
• Piąta prośba – o wolność wypowiedzi	44
• Szósta prośba – o wolność myślenia	46
• Siódma prośba – o wolność istnienia	48
Otwarte pytania	50
Jak zapomnieliśmy o naszych prośbach	53
• Co widzą dzieci	55
• Czego nie widzą dorośli	56
• Język trudności	58
• Zatrzymać się i posłuchać	59
• Najważniejsze pytanie	60
• Rezygnacja i przetrwanie	63
Trzy fazy relacji	68
• Coraz więcej tego, czego brakuje	72
• Ważne jest to, co mamy	79
• Historie żądania i rezygnacji	83
Trudności nie mają być rozwiązane	86

• Towarzyszyć w trudnościach.....	88
• Właściwy porządek.....	91
• Odpowiedzialność po stronie dorosłych	96
• Prawdziwa akceptacja	100
• Koniec cierpienia.....	101
• Zabicie posłańca	106
• Służąca nie wychowa księżniczki	107
• Ukryte poprzedza odkryte	108
• Dziecko, które sprawia trudności, to powód do dumy.....	109
• Nowe porozumienie	115
• Cztery iluzje	119
2. Słuchać inaczej.....	125
Po co słuchać.....	126
Jest mi trudno	131
Czy mam szansę na bliskość	135
Uważne słuchanie	139
Podróż złożona z (zaledwie!) czterech kroków	141
• Pierwszy element – przestrzeń dla trudności.....	142
• Drugi element – obserwacja	143
• Trzeci element – zgoda na udzielenie odpowiedzi	145
• Czwarty element – ekspansja	148
Dziecko prosi tylko o to, czego nie ma	151
Zatkane uszy	157
Czy możemy celebrować na tym świecie przyjemność, zmysłowość i seksualność	160
• Gdy to nie działa	165
• Dawanie tego, czego nie mam	171
• Podsumowanie – w duchu Alice Miller	175
3. Ukryta rozmowa. Życie jak lunapark.....	179
Dwa kanały wpływu rodziców na dzieci.....	179
• Komunikacja z dziećmi	183
• Komunikacja z nami samymi.....	183
• Dzieci nas słuchają	184
Trzy rodzaje komunikacji między dziećmi a rodzicami.....	187
• Etap prośb	189
• Etap żądań.....	190
• Etap rezygnacji	197

Pięć poziomów przekazu	204
• Kierujące nami przekonania	206
• Nawracające sytuacje, które wzmacniają przekonania.....	207
• Odpowiadające przekonaniom obszary, na których skupiamy się w życiu.....	208
• Myśli i idee uzasadniające nasze przekonania	209
• Nawykowe postawy wyrażające nasze przekonania.....	210
• Pierwszy poziom – kierujące przekonanie	212
• Drugi poziom – nawracające sytuacje w życiu.....	212
• Trzeci poziom – obszary skupienia.....	213
• Czwarty poziom – opinie i idee	214
• Piąty poziom – nawykowe zachowania	214
Wracamy do domu	216
Zamiast zakończenia. Zaproszenie do innej podróży.....	217
• Nowy rodzaj partnerstwa	217
Podziękowania	221



Wstęp

„Dlatego z tej prowizorycznej parkowej mównicy błagam obojętnych przechodniów, aby dostrzegli w naszym systemie wychowawczym sposób na wyjście z frustracji i ludzkiej niedoli”.

A.S. Neill, Summerhill School: A New View of Childhood

Uwagi do piątego wydania oryginału

Czuję się bardzo wzruszony, że ta książka wędruje po świecie niczym moje dziecko, które dorosło i się usamodzielniało.

Spotykam rodziców, których wyzwoliła i dodała im sił. Boli mnie jednak, gdy widzę tych, których po lekturze przepełniło poczucie winy. Ci odważni i otwarci rodzice cieszą się, że pojęli, o co naprawdę prosi ich dziecko, lecz świadomość zmarnowanych szans jest męcząca i paraliżuje.

To bolesne i niepotrzebne nieporozumienie. Najważniejsza dla naszych dzieci jest bowiem świadomość, że z całych sił staramy się posłuchać tego, co się w nich dzieje. Fakt, że otworzyłeś tę książkę, dowodzi, że pragniesz słuchać.

Wybaczenie sobie tych wszystkich straconych szans jest możliwe (i naprawdę warto zachodu). Wierzę, że w rodzicielstwie istnieje nieograniczona przestrzeń dla zmian. Gdy mama czy tata zechcą

otworzyć drzwi – cudowną i uzdrawiającą mocą słuchania – żadne dziecko na świecie nie uprze się, aby je zamknąć.

To nie jest moja książka. Miałem szczęście kroczyć z pewną wyjątkową kobietą ramię w ramię ścieżką wydeptaną przez nas dwoje. Dziękuję cudownym siłom, które nas połączyły. Wspominam o tym, ponieważ większość poruszających idei, które udało mi się tu w miarę przejrzyście sformułować, Orit Fejul Orr intuicyjnie poczuła, przemyślała, wypowiedziała i wcieliła w życie na długo przede mną. Jej uczniowie i pacjenci, a także nasze trzy córki już to wiedzą. Teraz powiedziałem to także tobie. Możemy zaczynać.

Tak to jest:

Dziecko, które rezygnuje, przechodzi w tryb przetrwania właściwy dorosłemu.

Dorosły, który przestaje rezygnować – zaczyna żyć jako dziecko.

Nie gódźcie się na rezygnację.

Ja się nie zgodziłem.

Zawsze może przyjść ktoś, kto powie: „Cóż począć, tak już jest...”.

Lecz dziecko, które pragnie żyć,
nie poddaje się.

Ponieważ żyje, jest prawdziwe, jest kochane. Tak to jest.

Zacznijmy od początku...

Jeśli sięgnąłeś po tę książkę, najwyraźniej się urodziłeś. A skoro się urodziłeś, oznacza to, że masz rodziców. Jednego lub dwoje. Żyjących lub nieżyjących.

Może podejmiesz decyzję, że nie zostaniesz matką. Może już postanowiłeś, że nie będziesz ojcem. Może zechcesz wychowywać dzieci w inny sposób niż przyjęty, samodzielnie lub w społeczności, bądź

w związku jedнопłciowym. Być może szczodrość, z jaką dajesz siebie innym, oraz mnogość twórczych działań w twoim życiu nie pozostawiają miejsca dla dzieci z krwi i kości, i to też jest cudowne – ale rodzicielstwo (to dziwne słowo), ten związek między matką czy ojcem a dziećmi, jest zjawiskiem, które dotyka cię osobiście, bo z niego powstałeś.

Ja sam przez pierwsze trzydzieści lat życia nie uważałem rodzicielstwa za zbyt interesujący temat. Jak wielu mądrzejszych i bardziej doświadczonych ode mnie ludzi myślałem, że rodzicielstwo jest pewnym etapem, który trzeba ominąć lub przejść przez niego w drodze do tego, co naprawdę ważne.

Dziś jednak, gdy przekazuję ci tę książkę drżącymi dłońmi (nie są już tak pewne jak dawniej), wiem, że rodzicielstwo nie tylko jest fascynujące, lecz także jest to najważniejsza rzecz ze wszystkich.

Słowa te piszę w małym pokoju, przypominającym ciemne wnętrze łona, o ścianach w kolorze ziemi i z dużym oknem ozdobionym czerwonymi i białymi kwiatami hibiskusa. W tym miejscu codziennie spotykam się z różnymi ludźmi w różnym wieku, którzy chcą, abym to ja towarzyszył im w rozwoju. Większość z nich przychodzi z głębokim problemem. Otwierają się na odnowę po poważnym kryzysie. Wraz z nimi, przez ostatnie osiemnaście lat, odkrywam kolejne warstwy tajemnicy rodzicielstwa.

Tę tajemnicę można zawrzeć w jednym krótkim zdaniu: „Co sprawia, że tak dobre intencje potrafią doprowadzić do tak wielkiej katastrofy”.

W tej książce przedstawiam nowe spojrzenie na relacje pomiędzy dzieckiem a jego rodzicami. Nie jest to książka o wychowaniu ani też zbiór mądrych porad dotyczących właściwego postępowania z dziećmi.

Pragnę umożliwić zarówno nowym rodzicom, jak i weteranom rodzicielstwa dumne wyprostowanie się, zrozumienie i poczucie cudu stworzenia człowieka, magię i szczodrość, która tkwi w decyzji o zostaniu matką czy ojcem.

Ponieważ gdy mówimy o rodzicielstwie, mówimy tak naprawdę o warsztacie, w którym tworzone jest człowieczeństwo.

To boli, kiedy widzi się, że w większości rodzin, także po ponad stu dwudziestu latach istnienia zachodniej psychologii, rodzicielstwo jest nadal w najlepszym wypadku ciągiem niesprecyzowanych działań, a w najgorszym – rozpaczliwie obciążającym zadaniem. Uważa obserwacja i chęć dostrzeżenia, co tak naprawdę dzieje się między dziećmi a ich rodzicami, pozwalają, aby rodzicielstwo stało się tym, czym miało być od początku: szeroką bramą, przez którą popłynie miłość od będących tu nieco dłużej (rodziców) do nowo przybyłych (dzieci). I nie używam słowa „miłość” przypadkowo; w moich oczach to proste słowo ma jasne znaczenie, które można odnieść do każdej relacji.

Miłość to dla mnie dawanie temu, kogo kochamy, tego, co naprawdę pragnie otrzymać.

Nie tego, co należy.

Nie tego, co wygodne.

Nie tego, co przyjęte.

Nie tego, co sprawi, że będzie cię kochać czy potrzebować.

Tego, czego naprawdę pragnie.

Nie jest to wcale oczywiste. W większości rodzin w ogóle się tego nie rozumie. Także dziś, w świecie, w którym możemy cieszyć się wolnością jednostki, dostępnością dóbr materialnych i nieskończonymi możliwościami wyrażania siebie, tak wielu ludzi obsesyjnie szuka docenienia z zewnątrz, w samotności i oddaleniu od samych siebie i swoich bliskich, w ciągłym stresie i lęku przed przyszłością. Jedną z głównych przyczyn takiego stanu rzeczy jest to, że pomimo

materialnego dostatku i tych wszystkich ekscytujących zmian w obszarze wolności osobistej, wypracowanych przez ostatnie pokolenia, większość rodziców nadal nie słucha tego, o co tak naprawdę proszą ich dzieci. Od tysięcy lat dają im to, co „właściwe”, niczym wymyślony klucz, który nie otwiera żadnych drzwi. Przekazują im swoje lęki, które przekształciły się w ideologie, własne niezaspokojone potrzeby, zwyczaje, zasady współżycia społecznego, zgodnie z którymi ich wychowano, czy doktryny duchowe, na których opierają się w życiu. Wszystko oprócz tego, o co naprawdę proszą ich dzieci.

Czy twoi rodzice cię słuchali? Czy dostałeś od nich tę miłość, o której mówię, tę umożliwiającą nam wysłuchanie i usłyszenie dokładnie tego, o co nas prosi syn czy córka? Czy jest to miłość, którą chciałbyś dać swoim dzieciom?

Potrzebowałem wielu lat wypierania oraz kolejnych długich lat akceptacji i nauki, aby zrozumieć, że dla mnie nie istnieje żaden inny rodzaj miłości. Że nie chcę dać moim córkom niczego innego niż to, o co proszą. Ta książka wyrosła z nauki i słuchania moich córek oraz dzieci osób, które zwróciły się do mnie o pomoc, a także dziecka we mnie, które dziś, gdy mam pięćdziesiąt jeden lat, nadal ciągnie mnie za rękaw, domagając się, abym zobaczył, że daję mu to, co wydaje mi się dobre w danej chwili, a nie to, o co ono naprawdę prosi.

* * *

Sobotni poranek.

Siedzę przy łóżku swojej najmłodszej, trzyipółletniej córki. Dochodzi ósma rano i wszyscy oprócz mnie śpią. Dziś donikąd się nie spieszymy. Patrzę na nią, gdy się budzi. Mamrocze, ale jeszcze nie otwiera oczu, tylko odwraca się na drugi bok. Z sąsiedniego pokoju słysząc szmer, gdy dwie pozostałe dziewczynki obracają się na łóżkach.

Patrzę na córkę i nagle rozumiem, że na mnie nigdy tak nie patrzono. W kibucu¹, w którym się urodziłem i wychowałem, budziłem się rankiem i zasypiałem wieczorem zupełnie sam. Jeśli była tam opiekunka, chodziła od łóżka do łóżka, sprawdzała i wydawała polecenia... Bez żadnej osobistej relacji. Gdy miałem trzy i pół roku, nikt na świecie nie miał pojęcia, jak wyglądam, kiedy budzę się czy zasypiam.

Nikt nie wiedział też, jak moja mama czy tata się budzą. Oni również wychowywali się w kibucowym domu dzieci (czy też „domu sierot”, jak nazywają go moje córki).

A więc powiedzcie mi, jak wyjaśnić fakt, że moi rodzice skazali mnie na tę samą samotność, zesłali na tę samą emocjonalną pustynię, gdzie sami niemal umarli z pragnienia?

Jak do tego doszło? Dlaczego rodzice – w kółko, mimo wielu zmian scenerii, mimo rozwoju nauki i cywilizacji – z pokolenia na pokolenie pozwalają swoim dzieciom przechodzić przez cierpienie podobne do tego, które oni sami przeżywali jako dzieci? Ludzie, którzy w dzieciństwie cierpieli z powodu ciągłego oceniania przez rodziców, nieustannie oceniają swoje dzieci i zmuszają je do doświadczania tej samej frustracji i poczucia braku wartości, których doznali przy własnych rodzicach. Ludzie, którzy jako dzieci nigdy nie mogli swobodnie wyrażać uczuć, dorastają, rozwijają się i stają rodzicami, którzy uczą swoje dzieci, że gniew, rozpacz i nienawiść są „negatywnymi emocjami”, dla których w ich domu nie ma miejsca. Ludzie, których rodzice porzucali na rzecz swoich towarzyskich czy duchowych idei, porzucają codziennie swoje dzieci na rzecz „nowych” idei.

¹ [hebr. ‘zgromadzenie’, ‘wspólnota’] dobrowolna żydowska wspólnota osadnicza w Izraelu (za Encyklopedią PWN) [przypisy pochodzą od tłumaczki, chyba że zaznaczono inaczej].

Prostym przykładem z codziennego życia jest konwencjonalny system edukacji. Jak ludzie, którzy cierpieli w szkole przez samotność, głęboką i nieustanną nudę, systematyczne tłumienie ich kreatywności oraz emocjonalne stłamszenie i poczucie braku wartości, mogą posyłać każdego ranka swoje ukochane, najdroższe dzieci do szkół, gdzie mimo pojawienia się komputerów, internetu i zajęć dodatkowych nadal trzyma się tych samych założeń co w placówkach z ich własnego dzieciństwa?

Jak to się dzieje? Dlaczego rodzice upierają się, aby systematycznie żywić swoje dzieci taką samą emocjonalną i myślową strawą, która w najlepszym wypadku powodowała ciągle niedożywienie, a w najgorszym truła ich, gdy przyjmowali ją z rąk własnych rodziców?

Pytanie to i odpowiedzi na nie są kluczowe dla każdego, kto jest zainteresowany życiem ze swoimi dziećmi opartym na miłości i tylko miłości. Dla każdego, kto godzi się dać sobie pełną wolność stworzenia rodzicielstwa, jakie wyrażałoby go bardziej niż lęki i wzorce myślowe, zgodnie z którymi go wychowano. Na pytanie postawione powyżej pragnę odpowiedzieć w tej książce.

Jej celem jest również wskazanie nowego sposobu słuchania naszych dzieci i nas samych, sposobu, który przerwie to błędne koło zniszczenia. Zaproponowanie punktu widzenia, który umożliwi nam danie czegoś zupełnie innego: domu, gdzie jedyną podstawą relacji w rodzinie są wolność wyboru, szczerłość i namacalna miłość.

Urodziłem się i wychowałem w kulturze, w której przemoc emocjonalna wobec dzieci była normą. Oczywiście jest wiele takich kultur. Tym, co być może jest wyjątkowe dla kultury przemocy w społeczności kibucowej sprzed pięćdziesięciu lat, jest to, że tamta przemoc była źródłem dumy i filarem ideologicznym kibucu w owym czasie. W tej książce nie zamierzam rozwodzić się nad kolektywnym

wychowaniem; wspominam tylko fakt, że w takim spojrzeniu na rodzicielstwo dorastałem.

Moi rodzice, jak wszyscy rodzice w kibucu, zostawili mnie, trzytygodniowe niemowlę, w domu oddalonym o pół kilometra od ich „pokoju”, z dziesiątkami innych opuszczonych niemowląt pod nadzorem kibucniczki, która miała dyżur w tamtym tygodniu. Nazywano ją „nocną strażniczką”. Od tej chwili spędzałem tam każdą noc. Tak więc gdy tylko budziłem się z płaczem w środku nocy, jak zdarza się to większości dzieci w pierwszych latach ich życia, widziałem nieznajomą twarz, która zmieniała się co tydzień.

Przechorowałem niemal cały pierwszy rok mojego życia. Mniej więcej w okolicy pierwszych urodzin zaczęły się ataki astmy. Wiem, że dla mojej matki byłem najdroższym skarbem i że pojawienie się mnie w jej życiu było wielkim darem. Wiem także, że sposób życia, który wybrali moi rodzice, zaszczepił we mnie głębokie poczucie bezbronności i samotności nie do naprawienia. Widać to w moich oczach na wszystkich zdjęciach z dzieciństwa.

Do tego doświadczenia wspólnego spania doszło życie w domu dzieci² – pięcioro szkrabów, a potem piętnastu starszych dzieci przemieszczało się jak jeden organizm z miejsca na miejsce. Nie miałem tam ani jednej własnej zabawki. Nie było też szans na prywatność. Tak jak rodzeństwo może mieć zupełnie różne doświadczenia pomimo tego, że ma tych samych rodziców, tak każdy, kto spędził dzieciństwo w kibucowym domu dzieci, został skrzywdzony w inny sposób i w innym stopniu. Pamiętam ciągle poczucie samotności. To, że nikt nie wie, kim jestem i co czuję. Pamiętam wstyd związany z moim ciałem, trudności z dołączeniem do walki o władzę między innymi chłopcami i ukrywanie poczucia niższości pod powierzchowną pewnością siebie, arogancją i otoczką sukcesu.

² Polecam fantastyczną książkę, w której każdy dorosły wychowany kolektywnie odnajdzie własne dzieciństwo: *Byliśmy przyszłością* autorstwa Jael Neeman [przyp. aut.], Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011, tłum. Agnieszka Jawor-Polak.

Moi rodzice byli bardzo młodymi ludźmi, również urodzonymi i wychowanymi w kibucu. Gdy miałem siedem lat, mój ojciec, który w młodości marzył o tym, by zostać malarzem, porzucił malarstwo dla reżyserii. Już wtedy – inaczej niż wielu młodych ludzi z jego otoczenia – szukał okazji do wyrażenia swej wyjątkowości i nawet je znajdował. Dlaczego zatem pozwolił mi dorastać w środowisku, które tłamsiło niezależne myślenie?

Kiedy miałem osiem lat, zaczęły mnie budzić nocne koszmary. Moja matka zawsze miała wyjątkowy talent do zajmowania się dziećmi z trudnościami emocjonalnymi. Co też przyszło jej do głowy, że zamiast zabrać mnie spać do siebie, do domu, zgodziła się współpracować z członkiniami rady wychowawczej, które aby wesprzeć mnie w uporaniu się z koszmarami, postanowiły zorganizować rotację członków kibucu, śpiących na polówce obok mojego łóżka? (Strategia ta była w owym czasie w kibucu uważana za oświeconą i rewolucyjną).

Mniej więcej do dwudziestego piątego roku życia powtarzałem sobie i innym opowieści o zielonych łąkach, o wolnych, szczęśliwych dzieciach, żyjących bez dorosłych, i o tym, jak cudownie było wyjść nocą w piżamach, skradać się gęsiego po krzakach i chować za ścianą, żeby móc zerkać na ogromny ekran, na którym dorośli we wtorki oglądali filmy.

Historii o chłopcu, który wcale nie chciał się wymykać na filmy dla dorosłych, lecz opuszczał swoje łóżko i wychodził na chłód, żeby nie dokuczano mu, że jest tchórzem, nie opowiadałem nawet sam sobie. I nie pamiętałem o swojej samotności w grupie dzieci, gdzie nikt nie był mi naprawdę bliski i nikt na świecie nie wiedział, że nie mam przyjaciół, dopóki moja najstarsza córka nie poszła do szkoły.

Gdy miałem dwanaście lat, notowałem swoje przemyślenia w pamiętniku, który chowałem pod materacem w domu dzieci. Myślałem

wtedy, że największym wrogiem jest śmierć. Zapisałem sobie, że gdy dorosnę, zostanę naukowcem i odkryję tajemnicę życia i śmierci. Wziąłem na swoje barki „skromne” zadanie: ocalić ludzkość. Jako chłopiec, a później jako młody mężczyzna naprawdę myślałem, że mogę ratować ludzi. We wszystkich rozmowach ze znajomymi i nieznajomymi starałem się pomóc im coś dostrzec. Nieustannie słuchałem i poświęcałem się ratowaniu ich od rozpacz, braku wiary w siebie, niszczących związków, więzienia, narkotyków i hospitalizacji.

U mnie oczywiście wszystko było w porządku... Komponowałem i studiowałem muzykę, uczyłem, jak doceniać muzykę poważną, i pisałem muzykę do spektakli teatralnych. Dopiero przed trzydziestką w końcu zdałem sobie sprawę, że to ja sam potrzebowałem ratunku. Wiodłem stresujące, pozbawione radości życie, kurczowo trzymając się nieszczęścia innych, aby czuć się ważnym i nadać sens własnemu istnieniu. W rzeczywistości snułem się między domem a uniwersytetem, smutny i zrozpaczony. Czułem, że poniosłem porażkę jako kompozytor, że czas mijał, a ja nie stworzyłem nawet jednego znaczącego dzieła i że nawet jako dydaktyk nie potrafiłem się wyróżnić. Gdy zgodziłem się uznać prawdę, zgodziłem się też rozsypać, okazać słabość. Ośmieliłem się poprosić o pomoc. Otrzymałem hojne wsparcie od przyjaciół, nauczycieli i doskonałych terapeutów, do których się o nie zwróciłem. W tamtych latach Orit, moja żona, była dla mnie inspiracją do wolności myślenia poprzez jej śmiałość i świadome działania. Dzięki Celi Piran Karni, wyjątkowej mentorce i terapeutce, zostałem nauczycielem, a potem terapeutą. Proces, przez który przeszedłem pod jej przewodnictwem, stopniowo zmienił mnie z chłopca wybierającego rolę ofiary, ukrywającego się w domu za zdecydowanymi opiniami i złudną aurą muzyka z potencjałem, w mężczyznę, który ufa swemu wewnętrznemu ja i jest chętny spotykać się z innymi oraz dawać siebie, całego siebie, światu, nawet gdy wydaje się to bardzo ryzykowne. Musiałem nauczyć się nowych rzeczy o sobie, odpuścić całkowitą kontrolę i intelektualną arogancję, które mnie więziły. Minęło sporo

czasu, wiele nieudanych prób i kilka lat zagubienia oraz bezsilności. W końcu odważyłem się i pozwoliłem sobie na niewinność oraz mniej krytyczne, a bardziej ludzkie podejście, które umożliwiło mi spotkanie z innymi z tego nowego miejsca we mnie. Rzuciłem muzykę i ze wsparciem i inspiracją nauczycieli oraz przyjaciół zacząłem odkrywać własną drogę do wsparcia, ozdrowienia i niesienia inspiracji.

Obraz zaczął się rozjaśniać. Coraz więcej osób przychodziło na opracowane przeze mnie warsztaty i kursy. Później prosiły mnie także, abym został ich terapeutą. Gdy miała się urodzić nasza pierwszodrodna córka, Noam, czułem, że już mniej więcej wiem, „jak to działa”. Rozumiałem, że ten, kto ratuje, nie leczy. Zrozumiałem też, że gdy wiem, co jest „słuszne” dla kogoś innego, w rzeczywistości jestem zamknięty, skupiony na sobie i w owej chwili nie jestem w stanie tak naprawdę ich kochać. Gdy mówię: „zrozumiałem”, można się pomylić i pomyśleć, że po prostu przemyślałem sprawę i coś zrozumiałem, ale tak naprawdę te rzeczy, które sobie uświadomiłem, wstrząsnęły mną, bo stały w całkowitej sprzeczności z tym, kim byłem do tej pory, i ze światopoglądem, w którym zostałem wychowany.

Gdy prawie dwadzieścia lat temu studiowałem z Celą, o której wspominam wyżej, przedstawiła mi ona koncepcję siedmiu czakr, obejmującą wszystkie sfery ludzkiego istnienia. Zafascynowała mnie idea, że każda warstwa egzystencji człowieka może być wpisana w tak prostą i w moim postrzeganiu intuicyjną strukturę. Później podejście to w znacznym stopniu wpłynęło na mój stosunek do wszystkiego poza rzeczywistością materialną (staram się unikać słowa „duchowy” – obecnie większość jego znaczeń jest bardzo daleka ode mnie i mojego życia) i do tego, jak ludzie się rozwijają i biorą odpowiedzialność za swoje życie.

Gdy kilka lat później zacząłem skupiać się na relacjach między rodzicami a ich dziećmi, nazwałem to „siedmioma prośbami”. Przeniosłem nacisk z dialogu, który ludzie prowadzą ze sobą i światem –

poprzez każdą z siedmiu czakr – na ukrytą rozmowę, w której dzieci proszą rodziców, aby im odpowiedzieli – poprzez każdą z siedmiu prób.

* * *

Noam przybyła do nas, gdy miałem trzydzieści pięć lat i czułem, że jestem gotowy ją przyjąć. Dziś wiem, że tak naprawdę nie miałem pojęcia, co to znaczy być ojcem ani na co się przygotować, ale ośmieliłem się pomyśleć i poczuć dwie rzeczy, które byłyby mi zupełnie obce kilka lat wcześniej. Odważyłem się powiedzieć mojej córce, gdy była jeszcze w łonie matki: „Chodź, warto. Dobrze jest tutaj, na tym świecie” i „Przyjdź do mnie, do mojego świata, a ja już znajdę sposób, aby dostosować go do twoich rozmiarów”. Czułem już, że moje życie jest w moich rękach. Czułem, że mam chęć i siłę, by wzrastać i zmieniać się. Ekscytowała mnie możliwość stworzenia czegoś nowego. Cieszyła wiedza, że moje dziecko nie doświadczy w dzieciństwie tego, przez co ja przeszedłem. Tak niepotrzebne i smutne wydawało się obciążać ją, łagodną i niewinną, ledwo przybyłą, tymi wszystkimi przeszkodami, z którymi zmierzenie się i rozpoczęcie (gdyż to zaledwie początek) uwalniania się od nich zajęło mi trzydzieści pięć lat.

Relacje między rodzicami i dziećmi fascynowały mnie na długo przed tym, jak zostałem ojcem. Pytałem bliskich mi ludzi i z ciekawością obserwowałem innych. Lecz ciągle nie mogłem zrozumieć, co sprawiało, że rodzice traktowali swoje dzieci zgodnie z tymi samymi konwencjami, które tak bardzo raniły ich samych w dzieciństwie. Nie rozumiałem, jak – w naszym świecie, gdzie każdy dorosły może pójść własną drogą – ludzie nadal wybierają brak elastyczności, przymus, dystans i zaborczość wobec dzieci. Zdałem sobie sprawę, że nie bierze się to z niegodziwości. Zazwyczaj mieli dobre intencje. Ale przypomina to zarzucanie wędki do tej samej rzeki, w której ani twój tata, ani dziadek nigdy nie złapali nawet najmniejszej ryby.

Jako terapeuta spotkałem małą dziewczynkę, której rodzice traktowali seksualność córki z pogardą, więc ona zaczęła rzeczywiście postrzegać siebie negatywnie we wszystkim, co jest z tą sferą związane. Tak samo wychowywała własną córkę. Poznałem chłopca, który codziennie czekał zrozpaczony, starając się nie zasnąć, dopóki tatuś nie wróci z pracy, z nadzieją, że może tego wieczoru poświęci mu więcej uwagi... Teraz miał trzydzieści osiem lat i był ważnym menedżerem, który każdego wieczoru musiał „załatwić coś pilnego” w biurze. Jego syn czekał na niego co wieczór. Poznałem osoby, które przeszły przez cały proces, ukończyły tysiące warsztatów, by po trzydziestu latach zrozumieć, że są piękne i niezwykle, lecz posyłały dziecko do szkoły, gdzie nikt nie zwraca uwagi na to, jak się ono czuje, jakie jest delikatne i wyjątkowe. Wydaje mi się to niepożądane i bardzo, bardzo smutne.

Gdy Noam miała cztery lata, zebraliśmy się w kilka rodzin i założyliśmy szkołę dla naszych dzieci, aby zainicjować ruch w przeciwnym kierunku. Staraliśmy się przerwać błędne koło, dać naszym dzieciom to, czego chcieliśmy dla siebie, coś, czego ani nasi rodzice, ani nauczyciele nigdy nam nie dali. Tam, w szkole, której nadaliśmy nazwę „Ziemskie dzieci”, otrzymałem cudowną szansę, aby wspierać rodziców we wspólnym wzrastaniu z nimi. Jako dyrektor wybrałem w pierwszych latach podejście oparte na głębokim partnerstwie dzieci, rodziców i nauczycieli oraz stałej relacji między potrzebami i trudnościami każdej jednostki a nauką i rozwojem wszystkich. Marzyłem o rodzaju współczesnego plemienia, gdzie dzieci i rodzice wzrastaliby razem. Okazało się, że było to dla nas wszystkich za wcześnie. Po pięciu latach bałaganu, podekscytowania i trudności, jak również nauki, kreatywności i odnowy, zamknęliśmy „Ziemskie dzieci”. Ale to, co tam się rozpoczęło, rozszerzyło się później na moją pracę z rodzicami spoza szkolnego kręgu. Tworzyłem kursy dla rodziców, dużo pisałem i propagowałem moje idee w każdy możliwy sposób. Pomagałem ludziom o różnych pozycjach społecznych i różnym światopoglądzie zacząć inaczej słuchać ich dzieci. Dzięki

spotkaniom z rodzicami, wspólnej obserwacji tego, co ich zbliża czy oddala od dzieci, a także słuchaniu moich córek i wielu innych dzieci, które poznałem, dostrzegłem łączące się wątki niczym podziemny ruch, który powoduje ból, ale przynosi też uzdrowienie. Są jak mechanizm, którym można operować w jeden sposób, wywołując osłabienie, ból i brak, ale można też operować nim w drugi, nowy sposób, tworząc wolność, miłość i szczęście w tym związku, który sprawia, że świat się kręci: relacji matki, ojca i dziecka.

NOWA SZANSA

Ze sposobu, w jaki dziecko wie o swoim życiu, wynika szansa, że odkryje ono siebie, ale też możliwość, że się to nigdy nie zdarzy, co oznacza śmierć, w znaczeniu bycia zapomnianym, tkwienia przez całe życie w ukryciu. Z chwili na chwilę, od posiłku do posiłku, od podróży do pracy i z powrotem, od jednego mizernego całusa do następnego. Z setek gąsienic wykluwających się z jaj, wijących się w masie larw, pogryzających liście i tkających sieci – z tych wszystkich dwie, a czasem tylko jedna rozłoży skrzydła i wzbije się w niebo jako piękny wolny motyl, który poczuje przestrzeń, odwiedzi kwiaty, znajdzie partnera i odleci. Wśród setek, a może tysięcy dzieci jedno czy dwoje odkryje siebie w swoim życiu jako piękne i wolne. To historia, którą nam opowiedziano. Znajoma i bezpieczna opowieść.

A teraz przejdźmy do nowej opowieści. W niej wszystkie dzieci mogą odkryć siebie. Nie jest to stara opowieść o gąsienicach i motylach. To nowa opowieść o nas i naszych dzieciach. W tej opowieści każde dziecko – dziewczynka, którą jesteś, chłopiec, którym jestem, nasze własne dzieci – wszyscy zgadzają się odkryć siebie przed światem. Już teraz, najbliższej wiosny.

Nasze dzieci przychodzą do nas, aby świętować z nami miłość i zaufanie. Świat, do którego je zapraszamy, świat, w którym je przyjmujemy, jest (w tym momencie) światem opartym na **ocenianiu i strachu**.

Tak to jest. Przez tysiące lat gruba, lepka, stwardniała skorupa tworzyła podstawę rodzicielstwa. Ale ta skorupa stworzona z oceniania i strachu to tylko skorupa. Innymi słowy, nie jest tak naprawdę mną i nie jest tak naprawdę tobą. A więc, podobnie jak znoszone ubranie, możemy ją zdjąć. To prawda, że ta skorupa jest bardzo gruba. Prawie wszystkie nasze związki są w nią wplecione, wraz z niemal wszystkimi narzędziami, które zgromadziliśmy, aby zarządzać tym światem, komunikować się i odnosić sukcesy. Zatem by się z nią rozstać, musimy dać jej wiele szacunku i przestrzeni oraz pamiętać, że często, gdy nosiliśmy jakieś ubranie przez wiele lat, trudno odróżnić je od samego ciała.

Oto drobne przypomnienie.

Miłość to stan, gdy wszystko doświadczane jest jako absolutny wybór, odczuwany i prosty, w tej właśnie chwili, we mnie i w tym, kim jestem, w tobie i w tym, kim ty jesteś.

Osądzanie to mechanizm, który wystawia miłość za drzwi.

Zaufanie to stan, w którym wszystko doświadczane jest jako dom, w którym dobrze jest być.

Strach to mechanizm, który wystawia zaufanie za drzwi.

Osądzanie i lęk w naszym świecie (w tej chwili) to nie tylko idee, możliwości czy przypadki. To intelektualna infrastruktura, która stanowi podstawę postępowania większości ludzi przez większość czasu.

Miłość i zaufanie, w większości przypadków, brzmią jak kuszące idee, odległe światy, o których mówimy, które badamy i za którymi tęsknimy, ale tak naprawdę nie stanowią budulca naszej codzienności.

Jak powiedziałem, nasze dzieci przychodzą, by właśnie z nami doświadczać miłości i zaufania. Oczywiście możemy myśleć inaczej. Możemy uznać, że przybyły tu, aby z nami cierpieć. A może, z naszą pomocą, przejść przez to życie z sukcesem. Możemy też powiedzieć: „Skąd mam wiedzieć, po co przybyły? Niezbadane są wyroki boskie” i po prostu starać się jak najlepiej w obrębie naszych ograniczeń. Właściwie możemy myśleć, cokolwiek chcemy.

Ale gdy głęboko spojrzałem w szeroko otwarte oczy mojej córki – wpatrującej się we mnie ze zdumieniem, jasno i ufnie, nawet w bólu i szoku, jakie następują po porodzie – poczułem zdecydowaną prośbę. To, że istnieje jasny powód naszego spotkania. Poczułem to znów później w jej pełnym zaufaniu do mnie, gdy co noc cierpiała przez bóle ząbkowania. Gdy po raz pierwszy pocałowała swoją siostrę w usta, z nieskończoną niewinnością i otwartością. I gdy promieniała z zachwytu i radości, kiedy wzięła do rączki wijącą się śliską kijankę. Nieustannie obserwuję moje córki oraz dzieci innych ludzi i widzę, jak bardzo chcą darzyć swoich rodziców ciągłą miłością i zaufaniem, nawet gdy są tak bardzo ranione. Patrzę – i wszystkie inne możliwości znikają. Widzę, dlaczego są tu z nami. To proste. Przybyły, aby uczyć się i doświadczać, wybierać i rozwijać się – razem z nami – i kochać, i ufać na tysiąc sposobów.

Nasze dzieci przybywają, aby właśnie z nami świętować miłość i zaufanie. A my, jeśli zechcemy, możemy pójść z nimi i zdjąć skorupę osądzania i strachu. Skorzystamy z ich pomocy – ich głębokiej więzi, wrodzonego oddania ich prawdzie, naszej prawdzie. Zrobimy to, wykorzystując wszystkie sytuacje pojawiające się w rodzinnym życiu, te, które „wyrzucają” na powierzchnię pytania, takie jak: **„Czy teraz kocham? Czy ufam?”**.

Dzięki temu nowemu sposobowi słuchania, tej nowej chęci, by maszerować razem z naszymi dziećmi, pokonamy rzekę. Ramię w ramię przejdziemy przez most ze starego świata, starannie

zaprojektowanego, aby dzieci zapominały swoją prawdę, do całkiem innego świata, w którym dzieci pamiętają. Tak staniemy się honorowymi gośćmi w świętowaniu, do którego nasze dzieci się urodziły, dla którego przybyły specjalnie do nas, właśnie teraz.

Chciałbym, abyście odczytali moje słowa jako zaproszenie. Otwarcie. Dostrzegli w nich nową możliwość dla siebie. Inne spojrzenie na nasze rodzicielstwo, na rodzicielstwo naszych rodziców i na świat, w którym wzrastamy wraz z naszymi dziećmi. Zapraszam was, abyście bardzo uważnie wsłuchali się w siebie. Weźcie to, co wydaje się odpowiednie, co umacnia i uwalnia. Odstawcie na bok wszystko, co ściąga was w dół i komplikuje sprawy.

Tak bardzo się cieszę, że mogę podzielić się z wami tymi słowami. I może, tylko może, ta książka was dotknie i umocni. Mam nadzieję, że ułatwi wam życie i obdarzanie miłością waszych dzieci.

I pomyśleć, że nigdy się nie spotkaliśmy...

natuli